

Od kilku dni panowały upały, które sprawiały, że we dnie trudno było wytrzymać na słońcu. Wytchnienie przynosił wieczór taki jak dziś. Zachodzące słońce nasycalo wszystko barwami ognia. Nagrzana ziemia oddawała nagromadzone ciepło, w powietrzu unosił się zapach skoszonej trawy, pobliskiej rzeki i warzyw w ogródku, który jednak był duszony ciężkim odorem płynącym od strony obozu.

Kotwicz usiadł przy dużym stole w ogrodzie i zapalił papierosa. Przypomniało mu się tamto lato, w 1939, kiedy siedzieli razem z Anną i sącząc czerwone wino bawili się widokiem Basi baraszkującej z Bibi. Był piękny wieczór, nareszcie można było oddychać po upalnym dniu. Kiedy położyli małą spać, zostali tylko dla siebie. Z otwartego na oścież okna ich sypialni dochodził ten sam zapach rzeki, trawy, warzyw w ogródku...

Kotwicz rozduśił resztę papierosa i wstał od stołu. Nie można teraz o tym myśleć... Wziął konewkę i napełnił ją deszczówką z beczki. Nad rzeką niepokoiły się żaby, w trawie setki świerszczy zaczynały swój koncert, jak gdyby przyroda obejmowała w posiadanie ten nieludzki świat.

Wszedł do ogródka i zobaczył nagle ciemną, niewysoką sylwetkę stojącą przy grzędach truskawek. „Hedwig kąpie dzieci, kto to...?”. Podeszedł jeszcze bliżej i postawił konewkę na piaszczystej ścieżce.

- Dorodne w tym roku jak nigdy przedtem, panie komendancie...

Ciemna sylwetka odwróciła się gwałtownie. Höss miał na sobie wciąż rozpiętą kurtkę mundurową, w ręku trzymał pustą butelkę po piwie.

- Piękny wieczór... tak... truskawki trzeba podlać, bo ogrodnik już w obozie po apelu, a owoce chcą pić, gorąc był... - Kotwicz uśmiechnął się. Stał oko w oko z człowiekiem, który dzisiaj przyjął kilka transportów z Żydami, objaśnił dzieciom skąd się bierze miód stojąc przy ulu w ogrodzie, doglądał przez specjalny wizjer w drzwiach gazowania kilkuset osób po czym po obiedzie zabrał dziewczynki na kajak na Sołę aby po południu przyjąć kolejny transport węgierskich Żydów i doglądać gazowania w komorach.

Stał teraz przy zagonach truskawek, grządkach fasoli i pnącego groszku przyglądając się z zaciekawieniem temu Polakowi, który w zimie uratował życie jego córeczki, a którego Max podejrzewał o...

- *Rudi! Rudi, wo bist du?!-* rozległ się głos Hedwig.- Rudi, dzieci chcą, żebyś im poczytał przed snem!

Höss przeszył zimnym, szklanym wzrokiem Kotwicza i bez słowa odszedł po mału w stronę furtki. – Ach, tu jesteś? Co ty robiłeś w ogródku?

Hedwig spojrzała w niebo, zaczerpnęła powietrza w płuca i rozłożyła ręce:

- Auschwitz... jak tu pięknie! Tu chcę żyć i tu chcę umrzeć!

Höss odstawił butelkę na drewniany stół. Wciąż miał przed oczami te dzieci z ostatniego transportu. Stał na uboczu i przyglądał się, jak ludzka rzeka płynęła nieświadomie do komory gazowej. Powiedziano im, że idą wziąć prysznic. W pewnym momencie jego uwagę zwróciła trójka dzieci: dwoje kilkuletnich pomagało iść młodszemu. Byli skromnie, lecz schludnie ubrani. Za nimi szła matka, która mijając Hössa zatrzymała się i w najczystszej niemczyźnie zapytała, pokazując na swoją trójkę:

- Jak możecie zabijać tak piękne dzieci?!

One także zatrzymały się i odwróciły głowy, patrząc na groźnego człowieka, z którym rozmawiała ich matka. Höss wyraźnie widział ich duże, ciemne oczy. Co dziwne, w oczach ich matki nie było strachu ani lęku. Raczej... tak, to był gniew i nienawiść...

Aż dziwne, skąd takie odruchy u tych podludzi?

- Idź na górę, zaraz do was przyjdę... - Höss wysłał żonę, sam przeszedł przez salon do swojego pokoju. Wyjął butelkę wódki i nalał sobie pół szklanki opadając ciężko w fotelu.

Musiał wtedy tak zareagować, przecież oczy wszystkich esesmanów były zwrócone na niego, na tego, który ma być dla nich przykładem. Nie mógł w takim momencie okazać słabości, jakże by to wyglądało?!

Przechylił szklankę i wdrygając się nalał sobie ponownie.

- Rudi?!- dobiegło wołanie ze schodów na górę.

- Już idę!- odkrzyknął zdenerwowany.

Trzeba przyznać, że wartownicy sprawnie zagarnęli wszystkich, zresztą, dzieci szły posłusznie za matką. Ufały jej całkowicie. Przecież matka nie da zrobić krzywdy swoim dzieciom. Wbrew instynktowi, wbrew wszystkiemu, co ludzkie, matka poprowadziła jednak swoje dzieci do komory z gazem... Wiedziała, że nie ma już ratunku ani dla niej, ani dla trójki jej małych istotek... Aby szybciej...

Przechylił szklankę. Teraz wódka weszła już lepiej. A zresztą, takie ma rozkazy a rozkazy są po to, żeby je wykonywać, wykonywać do końca! Czy pilot, który ma rozkaz zbombardować miasto zastanawia się, czy trafi w kobiety, dzieci, starców? Ma wykonać rozkaz, tylko to się liczy!

Höss czuł się coraz lżej z każdą wypitą dawką alkoholu. Spojrzał na butelkę i wlał resztę jej zawartości do szklanki. A zresztą o co to wszystko?! Oni są o tej porze już tylko pyłem... Otto Moll poupychał dzieci i matkę do jednego pieca... Są pyłem, wylecieli przez komin... A pył porwał wiatr... Zaraz, dzisiaj nie było wiatru. Zatem pył osiadł... Höss dokończył szklankę z wódką i nagle olśniło go.

- Hedwig... Hedwig!

- Co się stało?- kobieta stała w progu i zdziwiona przyglądała się mężowi, który usiłował podnieść się z fotela.

- Nigdy nie pozwalaj jeść dzieciom niemytych truskawek, rozumiesz?! Zawsze myć owoce, zawsze!

- Rudolf... nie idź w tym stanie do dzieci. Połóż się lepiej...